

# Koniec, kropka

ILONA GODLEWSKA

„Tej nocy... wiesz... nie przychodzi... Będzie ci przykro. Będę robić wrażenie umarłego, a to nie będzie prawda. Rozumiesz. To bardzo daleko. Nie mogę zabrać ze sobą tego ciała. Jest za ciężkie. To będzie jak stara porzucona łupina. W starych łupinach nie ma nic strasznego. Wszystkie gwiazdy dadzą mi pić”.

Antoine de Saint-Exupéry, *Mały Księżę*

Śmierć jest przejściem z doczesności do wieczności – mówi moja religia. Mówi też o dojrzałej żalobie jako przeciwieństwie tej niedojrzalej, przejawiającej się w depresji i myślach samobójczych. Ta sama religia nie mówi mi jednak, jak pogodzić się z tym, że jego już nie ma. Daje rady. Wskazuje, że najbardziej niedojrzałym sposobem radzenia sobie z żałobą w obliczu śmierci kogoś bliskiego jest ucieczka od bólu, negowanie straty, udawanie że nie się nie stało, albo ucieczka w leki uspokajające. Śmierć bliskiej osoby powinna tymczasem umacniać. To jednak nic nieznaczące, puste słowa. Słowa, jakich wiele, rzucane by ładnie brzmiały w obliczu wielkiego, z ich perspektywy, Majestatu. Jego śmierć mnie nie umocniła. Nie uczyniła nawet smutną. Uczyniła pustą.



Miliony dni walki o życie. Lekarze usunęli guza, węzły chłonne. Potem bardzo długa rekonwalescencja. Leki – setki, tysiące różnokolorowych proszków, a w każdym, myślę jeszcze wtedy, Żdziebelko życia. Moja opieka w dzień i w nocy. Następnie naświetlanie promieniami, 17 ekspozycji. Euforia. Wyniki nie rewelacyjne, ale dobre. Lekarz się uśmiecha. Kiedy myślę, że to my zjedliśmy tego potwora, a nie on nas, słyszę słowa: przeczut do trzustki. Znowu to samo: konsultacje, leki przeciwbólowe, wątrobowe, nasercowe, kroplówki. Zaczynam dopytywać lekarzy, kiedy zaczynamy naświetlania, po tygodniu zbywania słyszę w końcu: już nic nie możemy zrobić. Ale ja nadal się nie poddaję. Żyję nadzieją, głupią, beznadziejną nadzieją, o której śpiewała Nosowska: „Jedyną matką, jaką masz, jest nadzieja, głupią matkę masz”. Było mi dzięki temu łatwiej, lżej. Fałszuję badania lekarskie, szukam znachorów, kupuję cudowne leki. Nie zauważam momentu, w którym trzeba porzucić nadzieję, by zająć się umieraniem. Oszukuję siebie i wszystkich dookoła. Śmierci można uciec, jeśli się tego chce, jeśli się wierzy, że można jej uciec – myślę sobie. Myśleć to jedno, uciec to drugie. Mnie się uciec nie udaje.

Na początku mówił, że choroba z nim nie wygra. Że pokaże mi ten swój potok w Bieszczadach. Że jeszcze nauczy mnie cierpliwości. A potem już tylko powtarzał za Bobem Dylanem: „Nie dam się uśpić śmierci słowom, pójdę

do grobu z podniesioną głową”. Wtedy chciałam odebrać mu jego umiowanie. Zaprzeczyć prawom natury. Nie udało się. Odchodził sam, ze swoim bólem, w swoim łóżku, ze swoimi lekami, ze swoją miłością do życia. A ja zostałam ze swoimi zniecierpliwieniem i impulsywnością. Stosuję naiwną taktykę, która zakłada, że jeżeli się o czymś nie mówi, to tego nie ma. W języku codziennym używam eufemizmów: „zasnął”, „odszedł”. Sama przed sobą boję się przyznać, że już nie wróci. Że UMARŁ, że NIE ma go i NIE będzie. Kiedy wchodzę do pokoju chciałam, żeby stał tam uśmiechnięty, z przeproszającą miną, że tak długo go nie było. Ale go nie ma. Tak jak jego kapci i porozrzucanych papierów na biurku. W nielicznych momentach, kiedy mówię sobie, że na-

dal muszę żyć, wstać z łóżka, zapłacić rachunki, też dopada mnie strach. Nie boję się już tego, że bez niego nie dam sobie rady, ale tego, że w końcu nauczę się żyć sama. Że go zapomnę, że w książkach nie znajdę już pozaginanych rogów, którymi zaznaczał ważne cytaty, że pies przestanie czekać na jego powrót. A najbardziej, że nie będę w stanie przypomnieć sobie zapachu jego skóry.

„Żyć bez poczucia śmierci znaczy trwać w słodkiej nieświadomości człowieka pospolitego, który zachowuje się tak, jak gdyby śmierć nie była odwieczną, niepokojącą obecnością” – pisał w *Na szczytach rozpacz* Emil Cioran. W takim razie wolałabym żyć w tej słodkiej nieświadomości. Wolałabym być człowiekiem pospolitym i nadal ufać, że śmierć jest odległą gwiazdą, a nie przytłaczającą asteroidą. Istnieją ludowe opowieści racjonalizujące na swój sposób konieczność umierania. Jak ta: 9 lat przesiadła śmierć u pewnego Łotysza, który zamknął ją w tabakierce, aż ziemia zaczęła się skarżyć Panu Bogu, że ciężko jej tyle ludzi dźwigać, jako że w tym czasie nikt nie umierał, a ludzi przybywało. Wtedy Bóg kazał śmierć z tabakierki wypuścić. Ale ja TEJ śmierci racjonalizować nie potrafię. W czwartym wieku przed naszą erą Epikur pisał: „Albo Bóg chce znieść zło i nie może tego zrobić; albo może, ale nie chce. Jeśli chce, ale nie chce, to jest bezsilny. Jeśli może, ale nie chce, to jest okrutny. Jeśli, jak powiadają, Bóg

# Pustka po odchodzących

ANDRZEJ JAN WRÓBLEWSKI

29 czerwca 2018 roku zakończył się ważny etap historii polskiej imigracji do Kanady. W White Rock w Brytyjskiej Kolumbii zmarła Maria Anna Jarochowska – de Kosko. Miała dziewięćdziesiąt cztery lata.

W sposób niezauważony odeszła z polskiej diaspory w Kanadzie wyjątkowa postać, która swój naukowy talent związała ze skrupulatnym tropieniem i spisywaniem losów polskich emigrantów na ziemi kanadyjskiej.

Żyła niezauważana i często niedoceniana przez polonijne organizacje, a przecieć pisała ich historię.

Pani Maria ukończyła studia w Polsce w zakresie nauk ekonomiczno-politycznych i przyrodniczych. Pracę doktorską zatytułowaną „Kanada kraj i ludzie” obroniła w początkach lat sześćdziesiątych. Przy poparciu konsulatu kanadyjskiego otrzymała stypendium do Kanady, którego nie mogła wykorzystać przez kilka kolejnych lat, ponieważ odmawiano Jej wydania paszportu. Wreszcie, kiedy w 1965 roku wyjechała do Kanady na prywatne zaproszenie, już do Polski nie wróciła. Wykładała na University of Manitoba w Winnipegu i na Université du Québec à Montréal w Montrealu.

Przywiązanie do kraju ojczystego ukierunkowało Jej zainteresowania na ukowe. Od początku swojego pobytu w Kanadzie interesowała się emigracją polską, poszukując odpowiedzi na pytanie: dlaczego ludzie emigrują i na czym polega patriotyzm w nowym kraju? Po przejściu na emeryturę opublikowała książki poświęcone tematyce emigracyjnej. „Poza gniazdem – wizerunki emigrantki polskiej w Kanadzie w XX wieku” wydała w 2006 roku; angielską wersję tej książki pod tytułem „Out of the Nest” w roku 2011.

Obszerna monografia polskiej powojennej emigracji zatytułowana „Diaspora – narodziny polskiej imigracji do Kanady w latach 1940 – 1960” została wydana w 2011 roku, a poszerzona wersja angielskojęzyczna pod tytułem „A Shared History – Canada and the Polish Diaspora 1940 – 1970” w roku 2016.

Fascynującym rozdziałem w „Diasporze” jest historia skarbow wawelskich w Kanadzie. Czytałem ten tekst jak fantastyczną powieść kryminalną, a przecież opisane zostały skrupulatnie zebrane fakty historyczne osobistego zaangażowania wielu wybitnych osobistości ze świata polityki i kultury, którzy chronili te narodowe skarby przed zaprzepaszczeniem.

może znieść zło i rzeczywiście tego chce, to dlaczego istnieje ono w świecie?” Ja już dziś wiem. Śmierć jak z *Rozmowy Mistrza Polikarpa...* nie działa samodzielnie, to od Boga dostaje polecenie. A Bóg nie znosi cierpienia, bo wcale tego nie chce. Daje i odbiera. Jest wszechmocny, wszechwiedzący, najmądrzejszy. I dobrze mu z tym. Bóg tak chciał – mówicie. Tylko ja naiwna jakoś nie mogę tego zrozumieć. Nie możemy poznać woli boskiej – powtarzacie jak mantrę. A może jej wcale nie ma? Może on losuje na oślep? Albo gra w kółko i krzyżyk śmiejąc się z nas, umartwionych? To jest moje wyznaczenie wiary. Twoja śmierć nie jest przecinkiem w zdaniu mego życia, jest kropką.



Historia skarbow wawelskich opisanych przez Panią Marię jest najprawdopodobniej jedynym kompletnym dokumentem historycznym powojennych losów tych bezcennych narodowych pamiątek.

Pomimo prezentacji promujących nowo wydawane książki, niestety nie znalazły one wielu czytelników. Zastanawialiśmy się, czego to dowodzi. Czy jest to skutek zubożenia na potrzebę określenia własnej tożsamości, czy powodem jest gasnąca ciekawość zrozumienia na czym polega kulturowy szok emigracji, czy też po prostu coraz bardziej powszechna niechęć do czytania, wobec nachalnej presji Internetu i telewizji. A może chybione były przewidywania liczby czytelników, do których te książki były adresowane, bo liczebność tego audytorium wśród Polonii jest po prostu znikoma?

Nakład każdej następnej publikacji był coraz bardziej ograniczany, a mimo tego duża liczba egzemplarzy nie znalazła czytelników.

Poznaliśmy Panią Marię w 2004 roku przy okazji zupełnie nieoczekiwanego zdarzenia. Otóż Pani Maria zdecydowała się zrezygnować z ogródka działkowego w Richmond w związku z ciężką chorobą swojego męża. Kiedy przejeżdżaliśmy tę działkę, pojechaliśmy wraz z moją żoną podziękować za świetnie utrzymany ogródek i już na pierwszym spotkaniu zorientowaliśmy się, że mamy wiele wspólnych zainteresowań i podobne poglądy na interesujące nas tematy.

Tak zaczęła się nasza wieloletnia prawdziwa przyjaźń.

Po śmierci męża Pani Maria przeniosła się do White Rock, gdzie odwiedzaliśmy ją wielokrotnie. Miała nadzwyczajny dar opowiadania i niewiarogodną pamięć. Nieraz wraz z żoną zachęcaliśmy ją do dzielenia się swoją wiedzą i poglądami z szerszym audytorium.

W okresie czterech lat napisała i opublikowała cztery książki poświęcone polskiej emigracji do Kanady, z których dwie ukazały się również w tłumaczeniu na angielski.

Ostatnia książka, zatytułowana przezwrotnie „Stan faktyczny jest niezgodny z prawdą”, ma charakter autobiograficzny i jest niezwykle interesującym dokumentem trudnej drogi autorki do emigracji i skomplikowanych meandrow życia w nowym kraju. Tekst ten, pisany na podstawie własnych doświadczeń, jest niezwykle cennym dokumentem warunków życia w powojennej Polsce, których echo może odnaleźć każdy, kto te czasy pamięta.

Razem z moją żoną pomagaliśmy w przygotowaniach tekstów do publikacji. Irena opracowywała je redakcyjnie, a ja pomagałem w sprawach wydawniczych – przygotowywałem projekty okładek i składy tekstów do druku. Pomimo ciężkiej choroby, Pani Maria do ostatnich dni pracowała nad tekstem następnej książki – o Polakach pomagających rodakom w czasie wojny i w okresie powojennym. Książkę chciała zatytułować „Ratownicy”.

Tekst tej książki pozostał w rękopisie.

Wprawdzie dzieliła nas odległość między Vancouverem a White Rock, nieraz bywaliśmy u Niej przy różnych okazjach. Pamiętam wzruszające spotkanie, kiedy za swoje przywiązanie do Ojczyzny, w 2015 roku Pani Maria otrzymała Krzyż Kawalerski Orderu Zasługi Rzeczypospolitej Polskiej nadany przez Prezydenta Bronisława Komorowskiego.

Utrzymywaliśmy z Panią Marią nieustanne kontakty telefoniczne, długo rozważając perspektywy naprawy popuszonego świata polskiej i międzynarodowej polityki. Za każdym razem nasze rozmowy kończyliśmy słowami: „do następnego telefonu”.

A następnego niestety już nie będzie. Tydzień przed Jej śmiercią odwiedziłam Panią Marię. Była bardzo słaba, ale jak zawsze niezwykle serdeczna i zaangażowana w rozmowę. Nie przypuszczaliśmy, że tak szybko nas opuści.

Barczo nam będzie brakowało życliwych i mądrych opinii Pani Marii, zatroskanej losami Polski i świata.